


KS. DARIUSZ JAŚLARZ
redaktor wydania

Czy można iść na emeryturę, gdy jest się tak żywotnym? – pytają mnie ludzie. Odpowiedź jest prosta: trzeba iść na emeryturę! Żywotność jest niezbędna, by emerytura była przyjemna! Po to się pracowało tyle lat! A teraz nareszcie będę mógł cieszyć się tym, co jest moim hobby: nartami, ziemią i rowerem. – Tak tłumaczy swoje przejście na emeryturę bp Tadeusz Werno. Żałuję, że nie wszystko, co powiedział, zmieściło się na łamach. Zapraszam do lektury. ■

ZA TYDZIEŃ

- Poznamy lekarza, który w przerwach pomiędzy dyżurami dorabia, robiąc remonty.
- ZAJRZYMY NA RODZINNE SPOTKANIE WIELOPOKOLENIOWE.
- Odwiedzimy parafię greckokatolicką w Białym Borze, świętującą półwiecze istnienia.

Bogu za wszystkie łaski, a ludziom za pomoc i życzliwość dziękował w koszalińskiej katedrze bp Tadeusz Werno – od soboty 22 września oficjalnie na zasłużonej biskupiej emeryturze.

Podczas Mszy św. dziękczynnej kanclerz Kurii Biskupiej ks. dr Leszek Wódz odczytał oficjalny komunikat Nuncjatury Apostolskiej o przejściu biskupa Tadeusza na emeryturę po trzydziestu trzech latach pracy w Kościele koszalińsko-kołobrzescim. Oznacza to, na szczęście, jedynie zmianę formy kapłańskiej posługi, bo także na emeryturze świeżo upieczony biskup senior nadal będzie służyć pomocą diecezji, z którą związał swoje życie. – Nie dotykam jego misterium, jego historii pisanej między nim a Bogiem, nim a Kościołem świętym, w tym koszalińsko-kołobrzescim, to jest historia trudu, potu, niepokoju, pewnie łez i zgiętych kolan, inaczej by biskup nie siał – mówił w

Podziękowania za posługę

Świeżo upieczony emeryt



KAROLINA PAWŁOWSKA

homilii bp Edward Dajczak o posłudze swojego sufragana. Na dewizę swojej biskupiej posługi bp Tadeusz Werno wybrał słowa Apostoła: „Omnibus omnia factus sum” – „Stałem się wszystkim dla wszystkich” – i takim znają go jego diecezjanie. Podziwiają go za życzliwość i humor, a także całkowite oddanie się sprawom diecezji. Czuwał nad jej rozwojem i trzykrotnie podejmował się roli administratora, gdy oczekiwano na nowego hierarchę. Pamię-

Nowi kawalerowie Orderu Odrodzenia Polski

tają również o jego niezłomnej postawie wobec władz komunistycznych i pomocy niesionej represjonowanym. W dowód wdzięczności Zarząd Regionu „Solidarności” wystąpił do Prezydenta RP o przyznanie biskupowi Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski. Wraz z biskupem Werno tym samym odznaczeniem uhonorowany został ks. prał. Jan Borzyszkowski, były proboszcz parafii katedralnej w Koszalinie.

KAROLINA PAWŁOWSKA

SĄ TAM, GDZIE LUDZIE POTRZEBUJĄ WSPARCIA



JAROSŁAW JURKIEWICZ

Przedstawiciele zgromadzeń zakonnych, duchowieństwo, dawni wychowankowie i obecni podopieczni, a także wielu parafian uczestniczyli w Koszalinie w obchodach 150-lecia Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Rodziny Maryi. Uroczystą Mszę św. w kościele pw. Podwyższenia Krzyża Świętego w asyście kilkunastu kapłanów sprawował ks. bp senior Ignacy Jeż. Charyzmat sióstr, czyli oddanie sprawom ludzi chorych, ubogich i ich rodzin był jednym z powodów, dla których w 1986 r. – także dzięki zaangażowaniu biskupa Jeża (ówczesnego ordynariusza koszalińsko-kołobrzesciego) – siostry podjęły pracę w Koszalinie. Za ich posługę dziękowała siostra prowincjalna Bronisława Dębska, która specjalnie na niedzielną uroczystość przyjechała z Poznania. ■

W procesji z darami niesiono flagi państw, w których pracują siostry franciszkanki

Muzyka, która łączy pokolenia



BEATA STANKIEWICZ

Norwescy chórzyci podczas wspólnego występu

WAŁCZ. W kościele pw. św. Antoniego odbył się wspólny koncert Chóru Kolegium Nauczycielskiego w Wałczu i Hoybraten Sangforening in Oslo (Towarzystwa Śpiewaczego Hoybraten w Oslo). Polskim chórem dyrygowała Małgorzata Izban, zaś norweskim Marius Steensby. Towarzystwo Śpiewacze to 30-osobowa grupa amatorów, którzy spotykają się i śpiewają dla przyjemności. Na co dzień mają swoje firmy, sklepy, są nauczycielami albo po prostu emerytami. Najstarszy z nich ma 84 lata i śpiewa już od 64. Mimo różnicy wieku nawiązali doskonały kontakt ze studentami z Chóru Kolegium. Dyrygent Marius Steensby uznał,

że dyrygowanie polskim studentkim chórem to prawdziwa przyjemność. Dlatego też współpraca, która rozpoczęła się w lutym tego roku, będzie kontynuowana. – Norwedzy zaprosili walecki chór do Oslo. Obie strony już się nie mogą doczekać kolejnego wspólnego koncertowania, ale – jak mówi Ewa Rogozińska, współorganizator koncertu – takie przedsięwzięcie wymaga wielu przygotowań, zarówno artystycznych, jak i finansowych. – A zatem odbędzie się to wiosną 2008 r. Na razie wraz z Małgorzatą Izban i dyrektorem Andrzejem Łojewskim cieszymy się z doskonałego efektu pracy nad przygotowaniem waleckiego koncertu – dodaje.

Jechali przez Polskę



KRZYSZTOF DEGA

Wzdłuż trasy wyścigu zgromadziły się tłumy mieszkańców Piły

PIŁA. Wyścig Tour de Pologne zawitał w tym roku do Piły. Na alei Piastów usytuowano lotną premię. Już na ponad godzinę przed przyjazdem peletonu wzdłuż trasy wyścigu zaczęły schodzić się tłumy ludzi. Oprócz emocji nie zabrakło reklamowych gadżetów: papierowych czapek i miniflag. Pierwsi kolarze

przejechali lotną premię około godz. 12.45. Na peleton trzeba było poczekać prawie 18 minut. W Pile lotną premię najszybciej przejechali Niemiec Sebastian Lang i Brazylijczyk Murilo Fischer. Czwarty etap Tour de Pologne z Chojnic przez Piłę do Poznania wygrał w ostateczności Włoch Danilo Napolitano

Stypendia dla najlepszych

ŚLUPSK. 39 uczniów gimnazjów i szkół ponadgimnazjalnych otrzymało stypendia prezydenta miasta. Warunkiem uzyskania była średnia ocen co najmniej 5,5, choć w tym roku po raz pierwszy zastosowano wyjątek dla finalistów i laureatów olimpiad przedmiotowych: osoby z osiągnięciami mogły liczyć na stypendium, mając średnią ocen 4,7. Najwięcej, bo aż 11 stypendystów zgłosiło Gimnazjum nr 2, na drugim miejscu uplasowało się Liceum Ogólnokształcące

nr 2, gdzie uczy się 10 stypendystów. Najlepsi będą otrzymywać 200 zł miesięcznie przez cały rok szkolny. Pieniądze zamierzają wydać przeważnie na książki, sprzęt komputerowy i naukę języków obcych. Wielu z nich chce studiować medycynę, architekturę, prawo czy ekonomię. Stypendia Prezydenta Ślupska przyznano po raz dziesiąty. Rekordzistką jest Dagmara Krysiak z LO nr 2, która otrzymała prezydenckie stypendium już piąty raz.



KATARZYNA KOWALCZYK

Podczas uroczystości wręczenia stypendiów

Skuter dla policji

POLANÓW. Na posiedzeniu Komisji Wspólnych Rady Miejskiej w Polanowie dyrektor generalny oddziału w Koszalinie Energa Operator S.A. Zbigniew Herman przekazał koszalińskiej policji skuter. Już po raz kolejny korporacja Energa wsparła działania koszalińskiej policji w zakresie zapewnienia bezpieczeństwa i porządku publicznego w

mieście i powiecie. Skuter zostanie oddany w ręce policjantów w Polanowie. Będzie służył do patrolowania terenu miasta i pobliskich miejscowości, ze szczególnym uwzględnieniem miejsc narażonych na zagrożenia, a trudno dostępnych dla radiowozów, co wpłynie na podniesienie skuteczności pełnienia służby.

Baśnie inaczej

ŚLUPSK. Sceniczną wersję jednej z najpopularniejszych baśni, znanych wielu pokoleniom, przygotował Teatr Lalki „Tęcza” w Ślupsku. „Czerwony Kapturek” w najnowszej adaptacji ma podtytuł „Bajkowy galimatias”. Spektakl nie jest bowiem prostym przedstawieniem słynnej baśni. Mali widzowie, aby zobaczyć wreszcie ukochaną historię, muszą współpracować z przedstawiającymi ją aktorami, a nawet podpowiadać

główną bohaterkę, w co powinna być wyposażona i jak ma postępować. W rezultacie dzieci dobrze się bawią i mają satysfakcję, że to właśnie dzięki nim bajka została pokazana jak należy. Taki sposób prezentacji jest dziełem czeskiego twórcy Pavla Polaka. Spektakl w Ślupsku wyreżyserował Władysław Owczarzak, związany z toruńskim teatrem „Baj Pomorski”. Widowisko pełne gagów trwa 70 minut.

Młodzi u Matki Bożej Bolesnej w Skrzatuszu

Razem cieszyć się Bogiem

Przyjechali z różnych zakątków diecezji, a nawet spoza jej granic. Pierwszy raz był z nimi bp Edward Dajczak i – jak obiecał – już tak zostanie.

Diecezjalne uroczystości odpustowe w Skrzatuszu tradycyjnie już połączone ze Świętem Młodych.

Przeżywać modlitwę razem

– Przyjechaliśmy na dobry koncert, żeby pośpiewać, pograć a tym samym wspólnie się pomodlić. Może nie po to, aby pogłębić wiarę, bo to byłoby za dużo powiedziane, ale przynajmniej wejść na tę drogę – mówi Maciej Grzyb, student Uniwersytetu Warszawskiego – Tu, w Skrzatuszu widać, że Matka Boża wybiera miejsce, w którym można przeżyć coś innego, skupić się na modlitwie, nie na rozglądaniu się dookoła.

– Przyjechałem do Skrzatusza, żeby poczuć tę wspaniałą atmosferę, przeżywać modlitwę razem z młodymi ludźmi – dodaje kleryk Marcin Lecho z Kołobrzegu.

Czas wypełnił starannie przygotowany program: Liturgia Godzin, zawiązanie wspólnoty, nabożeństwo wprowadzenia nowych członków do Diecezjalnej Diakonii Muzycznej, koncert ewangelizacyjny zespołu New Day, nauka śpiewu, adoracja Najświętszego Sakramentu, panel dyskusyjny „Ring”, nabożeństwo ze świadectwami wiary i wreszcie o 23.00 – Eucharystia pod przewodnictwem pasterza diecezji.

Mimo że było bardzo chłodno, wiał mocny wiatr, nikomu to nie przeszkadzało. – Jesteśmy grupą pielgrzymkową ze Słupska, zorganizowaliśmy się, aby trwać przy Matce Bożej – opowiada ją Martyna Gierszewska i jej koleżanka Dagmara. – To wspaniałe przeżycie duchowe, jesteśmy tu już kilka godzin: śpiew, tańce, modlitwa w łączności z innymi ludźmi – po to tu jesteśmy. – Przygotowania do pielgrzymki



BEATA STANKIEWICZ

skrzatuskiej były krótkie – wspomina ks. Tomek Kmieciak. – Nie trzeba było wiele mówić, by grupa była gotowa do wyjazdu. Efektami naszej obecności tutaj są owoce duchowe, które każdy odczuwa w swoim sercu, spotykamy się z Maryją w sanktuarium diecezjalnym, gdzie każdy odnawia w sobie łaskę wiary, odnawia swoją duchowość – przekonuje duszpasterz.

Bóg tak, Kościół tak

Rozmowę przerywa entuzjastyczny aplauz, wzbudzony przez hasło: „Wielkie brawa dla Jezusa, który pociąga nas przez to, że nieustannie odkrywa przed nami wspaniały świat, który otrzymujemy przez wiarę w Niego i w drugiego człowieka!”. Wystawiony na placu Najświętszy Sakrament zostaje przeniesiony procesyjnie do sanktuarium. Można korzystać z okazji do spowiedzi, a atmosfera sprzyja temu, aby podziękować Bogu za pojednanie, by prosić, aby utrzymał łaskę przyjaźni z Nim.

Ważnym wydarzeniem wieczoru był „Ring”. Młodzi zmierzali się z nietłymi tematami dotyczącymi Kościoła, wiary, dyskutując z ludźmi, którzy doświadczyli Chrystusa i chcą się tym dzielić. – Przypadł mi w udziale zaszczyt poprowadzenia panelu dyskusyjnego „Bóg tak, Kościół tak” – mówi ks. Da-

Zimno i wiatr nikomu nie przeszkadzały. Wszystkim dopisywał humor

riusz Jaślarz. – Chcieliśmy uświadomić, że Kościół jako wspólnota ludzi wierzących, a także Kościół przez to, co ma do zaoferowania w zamysle Chrystusa, czyli m.in. sakramenty święte, jest nieodzownym elementem zbliżenia się do Pana Boga. Chcieliśmy przede wszystkim posłuchać młodych.

Pasterz idący z młodzieżą

– Oczekuję spotkania grupy młodych ludzi, którzy razem przeżyją tajemnicę Kościoła i ucieszą się Bogiem, którego odnajdą we wspólnocie, i ucieszą się sobą – powiedział nam przed spotkaniem

biskup Edward. – To wszystko odbędzie się w klimacie maryjnym, a więc ciepłym, macierzyńskim, i to jest potrzebne. Przy okazji może trochę posłuchamy w ramach „Ringu”, co w ich sercach naprawdę drzemie, żebyśmy im nie wymyślali wszystkich dróg, a posłuchali, czego oni chcą. Jestem zwolennikiem tego, co powiedział Jan Paweł II i powtórzył Benedykt XVI po światowych Dniach Młodzieży w Kolonii, że nie tylko młodzież ma iść za pasterzami, ale i pasterze mają iść za młodzieżą. Słuchać, czego oni chcą, czego poszukują. Niekoniecznie musimy ich świat dobrze rozumieć. Obserwuję i słucham młodych ludzi, bo mogą się trochę ich nauczyć. Myślę, że w sanktuarium diecezjalnym u Matki Bożej Skrzatuskiej młodzi ludzie mogą znaleźć bardzo głęboką prawdę o życiu. Mogą zobaczyć, że tajemnica życia, która w Chrystusie jest odsłaniana, to również takie chwile, kiedy się staje pod krzyżem. Myślę, że dla tego pokolenia nie jest to takie oczywiste. Tego też mogą się nauczyć w Skrzatuszu – przekonywał pasterz. Głównym organizatorem spotkania był ks. Hubert Smółkiewicz – diecezjalny duszpasterz młodzieży.

BEATA STANKIEWICZ

BÓG JEST PO NASZEJ STRONIE

Ks. TOMASZ RODA – PROWADZĄCY

Dlaczego zaangażowałem się w święto młodych naszej diecezji? Zawsze w sobie odkrywałem, że towarzyszenie młodym ludziom w nietłwych czasach jest dla mnie intrygujące, w dobrym znaczeniu. Staram się ze wszystkich sił być dla nich drogowskazem w przybliżaniu do Boga, który zawsze stoi po ich stronie w dylematach, trudnościach. Wiem, bo sam doświadczyłem tego, że Bóg otwiera horyzonty myślenia, uczucia, widzenia drugiego człowieka. Po prostu z Bogiem inaczej przeżywa się tę nietłwą codzienność. Myślę, że takie spotkania jak „Ring” są potrzebne, wielu młodych ludzi nosi w sobie wątpliwości, a ukazanie im osób, które miały podobne doświadczenia i znalazły odpowiedź poprzez przyzmat wiary, jest dla nich kierunkowskazem, jak postępować, aby dobrze, sensownie przeżyć życie.



Moje życie z dro

– Sabciu, gdzie jest Tadzio? – zapytała młodą dziewczynę piekarkowa.
 – Poszedł się uczyć na biskupa! – usłyszała w odpowiedzi. I choć brat dziewczyny dopiero co wstąpił do seminarium, prorocstwo się spełniło. Dziś bp Tadeusz Werno wspomina tamte czasy w rozmowie z ks. Dariuszem Jaślarzem.

KS. DARIUSZ JAŚLARZ: *Dlaczego młody Tadeusz Werno wybrał kapłaństwo?*

Bp TADEUSZ WERNO: – O kapłaństwie nie myślałem. Kiedy byłem w gimnazjum w Sulechowie, wszystko było mi bliskie: bliskie były narty (po niemieckich żołnierzach – takie białe), bliski był basen i rower. Należałem do piłkarskiego klubu młodzieżowego, który prowadził wspaniały człowiek, ks. Michał Kaczmarek. Nie było niedzieli, abyśmy nie byli całą rodziną na Mszy św. Ale moje kapłaństwo jest dowodem na to, że w życiu nie można sobie lekceważyć najmniejszego znaku. W tym czasie ukazał się pierwszy kalendarz Ziemi Zachodnich, wydany przez Administraturę Apostolską w Gorzowie Wlkp. za czasów ks. administratora Edmunda Nowickiego. W nim było o gotowaniu, o praniu... o wszystkim. Były też rozważania religijne. Na ostatniej stronie okładki było napisane: Młodzieńcy po maturze, chcący pracować na Ziemiach Odzyskanych, prastarych, piastowskich, niech zgłoszą się do seminarium itd. Ja to przeczytałem. Powiedziałem so-

bie: to ja! I to było powołanie! Amen.

A co tak Księdza Biskupa poruszyło w tym ogłoszeniu?

– Mój ojciec był powstańcem wielkopolskim. Dlatego w moim domu mundur polskiego żołnierza to była świętość. Trudno mi nawet wypowiedzieć, jak on bardzo kochał ojczyznę. Kiedy przychodziły święta, ojciec zawsze wychodził na ulicę i patrzył, gdzie idzie żołnierz polski. Brał go na obiad. Zawsze. Dlatego po przeczytaniu tego ogłoszenia z kalendarza wziąłem we mnie górę przede wszystkim patriotyzm. Tak znalazłem się w seminarium w 1951 roku. Poznawałem filozofię i teologię i z roku na rok utwierdzałem się w przekonaniu, że jestem na właściwej drodze. Dlatego mówię, że żadnego szczegółu nie można lekceważyć. Ja poznałem Chrystusa, a „Tadzinka” poznawali inni.

I wyruszył ks. Tadeusz w duszpasterską podróż.

– Moją pierwszą parafią była katedra gorzowska. Ale nic nie było proste! Bym mógł w niej pomagać (czytaj: pracować) bez zgody władz, udawałem kapelana biskupa Szelażka. I tak pomagałem trzy lata. Potem zostałem ojcem duchownym w niższym seminarium. Po jego likwidacji zabroniono mi pracy z młodzieżą. Przeciwstawiłem



się niszczeniu ksiązek przez „odpowiednie” służby. A wyszło właśnie odwrotnie. Gdy następnym razem w Zielonej Górze, pracowałem przede wszystkim z młodzieżą! Ustanowiłem dla niej specjalną Mszę św. Po trzech latach przejeżdżał przez parafię biskup Stroba. „Księżę, ksiądz się nam podoba. Będzie ksiądz pracował w kurii”. – To już gorzej być nie mogło! (śmiech). No, ale tam spotkałem bp Jeża! To cudowny, kochany

– Teraz nareszcie będę mógł cieszyć się tym, co jest moim hobby: nartami i ziemią – mówi biskup Tadeusz

człowiek. Siedem lat drzwiami w drzwi. Kiedy potrzebowałem czegośkolwiek, szedłem do niego. Kiedy on chciał mnie zrużać, szedł do mnie. Choć dziś w gazecie podał, że nigdy się na mnie nie denerwował (śmiech). W nowo powstałej diecezji koszalińsko-kołobrzeszkiej najpierw byłem proboszczem w Świdwinie.

Ale za chwilę nadszedł czas na zupełnie nowe doświadczenie Kościoła lokalnego.

osłudze biskupa Tadeusza Werno

zbudowane jest obiazgów



KAROLINA PAWŁOWSKA

nizował gdzie indziej. Ale jest coś, o czym w tym momencie muszę powiedzieć. W młodej diecezji niczego nie było. Wcześniej biskupowi Jezowi swój pokój udostępnił infułat Jarnicki. Sam poszedł spać na schody. Tak się buduje wielkość człowieka!

Był Ksiądz Biskup przewodniczącym Komisji ds. Budowy WSD w Koszalinie. Co było największym wyzwaniem?

– Szukanie pieniędzy, czyli żebractwo! W tej materii najlepszy jest kto? Ks. bp Ignacy Jeż. Mówi mi: „Tadeusz, ty będziesz kierowcą. Jedziemy do Niemiec. Po pieniądze”. Parafie całej diecezji też zbierały pieniądze na ten szczytny cel. Najwięcej, pamiętam, zbierała mała parafijka z Zakrzewa. I znów było ciężko. Ale jednak seminarium dziś stoi. I tak po kolei: należało zorganizować sąd biskupi, Caritas. Dziś mamy dwóch pracujących biskupów i dwóch emerytów, czyli czterech modlących się. Potężny arsenał katechetów i katechetek. Mamy to, cośmy chcieli.

Wróćmy do czasów, kiedy się nie budowało, a waliło w Polsce. Stan wojenny.

– Stan wojenny przywitałem, wywiesiwszy za okno polską flagę z kirem. Myślałem wtedy, syn powstańca: „Jak to, polski żołnierz, generał podjął decyzję, by trzymać ludzi za drutami kolcza-

stymi?!”. Pamiętam, są święta Bożego Narodzenia. Sprawuję Pasterkę w konkatedrze w Kołobrzegu i mówię o tym bez ogródek. Dobrze wiem, co powiedziałem: że dlatego tak się dzieje, bo generał włożył hełm, który przyklapnął mu rozum i on nie widzi sytuacji okrutnej dla swego narodu! Widziałem, że ludzie potrzebowali tego wystąpienia. Przecież to, że tylko ocet i musztarda były na półkach, każdy widział i cierpiał. Wtedy wezwano biskupa Ignacego. „Proszę uspokoić biskupa Tadeusza!” – tak mu podpowiadali. „Nic dobrego z tego nie wyniknie”. A biskup wiedział, że my jesteśmy jedno. Zatem powiedział wojewodzie, by sam mnie wezwał i pouczył. Tego nie zrobił. I wiele było prowokacji wobec mojej osoby. Podobnie się działo przy odwiedzaniu obozów dla internowanych. Prawdą jest, że jeździłem do nich czasem bez sutanny. Funkcjonariusze bardzo nie chcieli mnie tam widzieć. Odprawiam dla internowanych Mszę św. w DarłóWKu i mówię im, że tu tak mają dobrze, że są na wczasach... Tylko pozazdrościł. Po spotkaniu ubek w mundurze polskiego żołnierza znów mnie chce pouczyć, jak powinienem się zachowywać. „Chwileczkę – mówię – szanowny pan będzie pouczał biskupa Kościoła, czym jest Ewangelia? Proszę zatem powiedzieć, gdzie się urodził Chrystus”. Nie wiedział, więc dał mi spokój.

Czy bycie administratorem diecezji – a było tak trzy razy – to trudne zadanie?

– Nie, jak masz rower i umiesz na nim jeździć, to wsiadasz i zasuwasz. Biskup Ignacy powiadał o mnie: ma przyzwyczajenie, to potrafi to robić. Ale żarty na bok. Jestem tu tyle lat. Znam tę diecezję doskonale. A do tego Stolica Apostolska obliguje, by w czasie, kiedy nie ma ustanowionego ordynariusza diecezji, zmieniać tylko i wyłącznie to, co konieczne. Miałem raz taką sytuację, że musiałem podjąć personalną decyzję. Trudność miałem zupełnie inną. Ja siebie musiałem zmieniać, bo nowy ordynariusz był, jest inny. Każdy z nich cudowny, wspinały. Ale w moim wieku to dość trudne.

Ostatnie pytanie w zasadzie zadali Księdzu Biskupowi diecezjanie...

– Czy można iść na emeryturę, gdy jest się tak żywotnym? – pytają mnie ludzie. Odpowiedź jest prosta: trzeba iść na emeryturę! Żywotność jest niezbędna, by emerytura była przyjemna! Po to się pracowało tyle lat, ponad 50! A teraz nareszcie będę mógł cieszyć się tym, co jest moim hobby: narztami i ziemią.

„Gość Niedzielny”
życzy Księdzu Biskupowi
realizowania
wszystkich planów.



Czas dożynkowy w pełni

Plony słabsze, sprzedaż dobra

W tym roku Gminne Dożynki w Ustroniu Morskim były polsko-niemieckim Świętem Plonów. Przyjechała tu 50-osobowa grupa z partnerskich miejscowości Werneuchen i Willmersdorf.

Goście wzięli udział w dwudniowych warsztatach z zakresu kompozycji kwiatowych, wykonywania ozdób okolicznościowych, w tym wieńców dożynkowych, oraz pieczenia chleba i ciast. Wspólnie upieczono dożynkowy chleb, a mąka do wypieku pochodziła z tegorocznych zniw z terenu niemieckich gmin partnerskich oraz gminy Ustronie Morskie. Chleb przywieźli też przyjaciele z Ustronia w Beskidach. Dożynkowy wieniec wykonali w tym roku mieszkańcy sołectwa Gwizd. Po Mszy św. i wspólnym spożyciu chleba z tegorocznych zbóż koncert Strażackiej Orkiestry Dętej rozpoczął pro-

Zdjęcie powyżej: **Lena Jastrzębska, sołtys Gwizdu, i Irena Krawczyk, sołtys Ustronia Morskiego, kroją chleb z pierwszych tegorocznych zbiorów**
Poniżej: **Wspólna polsko-niemiecka kompozycja owocowo-warzywno-kwiatowa**

gram artystyczny. Na scenie występowały zespoły „Równica” z Ustronia beskidzkiego, „Jantar” z Ustronia Morskiego, „Pomorzanie” ze Straminicy w gminie Kołobrzeg. Choć z powodu dużych opadów deszczu plony były w tym roku niższe, to ceny utrzymywały się na odpowiednim poziomie, jak podkreśla rolnik z Ustronia Morskiego Stanisław Trzszczkowski. – Ze sprzedażą nie ma problemów. W poprzednich latach trzeba było prosić w skupach o odbiór, w tym roku skupują bez problemu, a nawet przyjeżdżają po zboże do gospodarstw. S. Trzszczkowski jest jednym z dziesięciu najlepszych nagrodzonych rolników w gminie Ustronie Morskie.

Bawiono się doskonale podczas konkursów rzutu gumowcem, rzutu kartoflem do celu, rąbania drewna na czas czy wyścigu hulajnogą dziecięcą. Swoje plony zaprezentowali też działkowicze, były stoiska pszczelarskie, domowego jadła, rękodzieła ludowego, pokaz kowalstwa artystycznego. O swych dokonaniach w lasach gminy Ustronie Morskie opowiadali myśliwi i członkowie straży łowieckiej Koła Łowieckiego „Ryś”.

MARZENA BAMBER

LISTY



Niezablźniona rana

Ktoś, kto nie pochodzi z Kresów, mógłby się nawet do łez wzruszyć treścią wywiadu (artykuł z numeru 34., opowiadający o Akcji „Wisła” – przyp. red.), a we mnie wzbudził niesmak, gniew i żal. Jestem z Kresów południowo-wschodnich i Boska Opatrzność sprawiła, że moi rodzice i trójka rodzeństwa ocalili w marcu 1944 r. z napadu bandy UPA. Tego szczęścia nie miało sześćdziesiąt dziewięć osób z naszej wsi. Zginęły w straszliwych męczarniach. W innej wsi podczas napadu wśród wielu innych osób zginął brat mojej matki z żoną i pięciorgiem dzieci. Nie miał nawet ich kto pochować i psy rozwlóczyły ciała ludzkie po okolicy. Takie przykłady można mnożyć w setki, bo co wieczór, kiedy wychodziło się z domu, wokół widać było łuny płonących wsi. To bestialstwo jest od dawna znakomicie udokumentowane, tylko jako dziwnym trafem poza Kresowiakami nikt tego nie nagłaśnia, nie zadaje sobie nawet trudu, żeby to czytać. We Wrocławiu działa Stowarzyszenie Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów, które wydaje czasopismo „Na rubieży”. W nim opisane są na podstawie zeznań świadków wszystkie (?) te straszne wydarzenia. (...) Bieszczady wyludniono, bo w każdym domu bandy UPA znajdowały oparcie i schronienie, a jeśli ich nie znajdowały, to ci ludzie dzielili los Polaków. W czasie gdy nacjonałści ukraińscy wymordowali ponad 200 tys. Polaków (1943–1947), zdążyli również potraktować podobnie ponad 20 tys. swoich rodaków, którzy bądź to ostrzegali Polaków o planowanych napadach, bądź udzielali im schronienia. Potem śmierć tych ludzi starali się przedstawić jako odwet Polaków. Jaki odwet? Polacy byli absolutnie bezbronni, podczas kiedy UPA uzbrojona była przez Niemców po zęby. (...) Mogę współczuć ludziom wysiedlonym siłą z ich domów – to dla każdego jest bolesne – ale im dano, lepszą lub gorszą, szansę na życie. Nacjonałści ukraińscy nam nie dawali żadnej szansy ani na życie, ani na uratowanie czegokolwiek z dorobku naszych ojców, dziadów i pradziadów. Za czasów PRL nie wolno było mówić o tym, co nas spotkało. Teraz się o tym znów nie mówi dla „poprawności politycznej”. Większość społeczeństwa z lenistwa nie sięga po literaturę faktów, a jest ona obfita.



STAŁA CZYTELNICZKA GN

nazwisko i adres do wiadomości redakcji

Koszalinianin szefuje jednej z największych gazet

Na wojnę już chyba nie pojedę

Zaczynał w gazetce licealnej. Dziś jest zastępcą szefa działu zagranicznego „Rzeczpospolitej”. Rzadko w wieku 27 lat robi się taką karierę.

Jacek Przybylski do dziennikarstwa trafił przez przypadek. Po drugiej klasie w koszański LO im. Stanisława Dubois dowiedział się, że powstaje szkolna gazetka „Tytuł”. Opiekę nad nią sprawował „Głos Pomorza”. – Robiłem wywiady z muzykami, pisałem relacje z koncertów. Po maturze przepytywałem już kandydatów na prezydenta: Kwaśniewskiego, Olechowskiego czy Olszewskiego – wspomina.

Studia dziennikarskie na Uniwersytecie Warszawskim okazały się strzałem w dziesiątkę. – Po trzecim roku ogłoszono konkurs dla studentów naszej uczelni i Uniwersytetu Jagiellońskiego. Do zdobycia był roczny staż w wybranej redakcji – opowiada. – Postawiłem na „Rzeczpospolitą”, bo uważałem, że to wiarygodna gazeta, najwyższa półka na rynku prasowym. Trafił do działu politycznego i, jak na stażystę, miał sporo szczęścia, bo od razu dostał własną „działkę”. – Były to sprawy wojskowe, o których wtedy nie miałem pojęcia. Ale zacząłem interesować się wojсками, czułem się w tym coraz lepiej, bo niektóre moje newsy były cytowane przez inne gazety, a nawet światowe agencje prasowe.

Jacek miał wtedy indywidualny tok studiów na uniwersytecie, równocześnie bez egzaminów wstępnych zaczął pierwszy rok w Szkole Głównej Handlowej. – Po pół roku musiałem zrezygnować z SGH, nie dawałem rady z tyloma obowiązkami.

W czerwcu 2003 r. nastąpił kolejny przełom: Polsce przypadła strefa stabilizacyjna w Iraku. – Poprosiłem szefów o



ARCHIWUM JACKA PRZYBYLSKIEGO

zgody na wyjazd. Nie myślałem o ryzyku.

Ta wojna trwa naprawdę!

Na przełomie sierpnia i września 2003 r. razem z polskimi żołnierzami i dziennikarzami poleciał do Kuwejtu, a po kilku dniach – do Iraku. Dla młodego chłopaka, który wojnę znał z filmów i książek, zetknięcie z konfliktem było ogromnym przeżyciem. Gdy w zamachu zginął ajatollah al-Hakim, Jacek pojechał do Nadżafu. Zginęło tam kilkadziesiąt osób, a ponad sto odniosło obrażenia. – Mijałem poprzewracane samochody i, brodząc we krwi, słuchałem opowieści ludzi, którzy właśnie stracili najbliższych.

Potem był krwawy zamach na placówkę ONZ w Bagdadzie. – Gdy już wysłałem tekst, z kolegą z Polskiej Agencji Prasowej odpoczywaliśmy w hotelu Sheraton. Siedzieliśmy na leżakach przy basenie, spoglądając na brzegi Tygrysu. Niedaleko stały czołgi. Co chwila słychać było serię z kałasznikowa – wspomina. – Rodzicom mówiłem, żeby się nie martwili. Że co prawda jestem w Bagdadzie, ale mieszkam w kompleksie hotelowym otoczonym wysokim betonowym murem, strzeżonym przez uzbrojonych po zęby żołnierzy. Chyba ich nie uspokoiłem.

Jacek Przybylski w bazie Bagram w Afganistanie. Za jego plecami pole minowe

W Iraku poznawał zupełnie inny świat. – Zobaczyłem, jak żyją dzieci wojny. Poznałem małego Dawida, który stracił całą rodzinę. Spał pod amerykańskimi samochodami i mówił po angielsku lepiej niż niejeden dziennikarz. Wykorzystywałem każdą okazję, by choć na chwilę się do kogoś przitulić.

Szpieg czy podróżnik?

Po powrocie do Warszawy spotkała Jacka miła niespodzianka: choć wciąż był studentem, redakcja zaproponowała mu etat w dziale zagranicznym. W lutym 2004 r. jeszcze raz na dłuższą pojechał do Iraku. – Jeździłem po całym kraju, pisałem reportaże. To była dobra szkoła.

Wiele rzeczy przestało go dziwić: choćby informacja wiążąca w pokojach hotelowych, że kosztowności i broń trzeba zostawiać w recepcji. Oswoił się też z odgłosami strzelaniny i z alarmami bombowymi. – Któregoś dnia rakietą trafiła w dom stojący niedaleko hotelu, w którym mieszałem. Przeleciała nad głowę córki gospodarza i utkwiała w ścianie. Na szczęście nie wybuchła.

Irakijczycy, szczególnie ci z prowincji, nie zawsze wierzyli, że Jacek jest dziennikarzem. Czasem pytali, czy nie jest amerykańskim szpiegiem. – Zaprzeczałem, a oni: „Dobra, ale powiedz swoje-

mu dowódcy, że potrzebny nam jest most” – wspomina. – Kiedy zapuściłem długą brodę i opaliłem się, Amerykanie mieli już prawie pewność, że jestem Irakijczykiem, a Irakijczycy – że szpiegiem. Z Iraku wyjeżdżałem przez granicę z Jordanią. Po drodze mijał trójkąt śmierci. – Kurdyjski kierowca radził, bym nie podnosił głowy...

Afganistan, Turcja, Irak ...

Na krótko poleciał później do Afganistanu. Pisał też o krwawych zamachach w Stambule. – Do ataku doszło wcześniej rano. O godzinie 11 odebrałem z redakcji telefon z pytaniem, czy nie chcę jechać. O 15 miałem samolot. Późnym wieczorem w Turcji szukałem już miejsca w hotelu. To jest takie tempo.

Służbowo zjechał też kawał Europy: Wilno, Ryga, Bruksela, Kopenhaga, Berlin...

W Iraku był jeszcze kilka razy z delegacją rządową. Ale wciąż w pamięci ma pierwszą podróż po kraju ogarniętym wojną. – Kiedy przypomniałem sobie, w jakie miejsca jeździłem, dochodzę do wniosku, że za bardzo ryzykowałem – przyznaje. – Starłem się być obiektywny, sądziłem, że żadna ze stron nie ma interesu w tym, żeby mi zrobić krzywdę. Teraz wiem, że to nieprawda. Wiele razy jeździłem przez miejscowości, gdzie terroryści zastrzelili Milewicza.

JAROSŁAW JURKIEWICZ

■ K O N D O L E N C J E ■

Ks. proboszczowi
REMIGIUSZOWI SZRAJNERTOWI
wyrazy głębokiego żalu i szczerego
współczucia z powodu śmierci

BRATA ZBIGNIEWA

składają
parafianie parafii św. Antoniego w Krzyżu Wielkopolskim

PANORAMA PARAFII

pw. św. Apostołów Piotra i Pawła w Łędyczku

W rodzinnej atmosferze

Podobno duży może więcej. Ale nie znaczy to, że mały nic nie może.

W małej społeczności życie toczy się inaczej, mniej spektakularnie, ale i bardziej rodzinnie.

Religijność

Wspólnota w Łędyczku liczy niespełna półtora tysiąca wiernych mieszkających na znacznym terenie, bo – jak zauważa proboszcz ks. Cezary Lesikowski – parafia jest rozdrobniona. W soboty i niedziele oznacza to pokonanie ponad siedemdziesięciokilometrowej trasy między pięcioma punktami odprawiania Mszy św.

Sporo parafian przebywa na Zachodzie, gdzie poszukuje pracy, bo o tę w rodzinnych miejscowościach trudno. Nie wszystkim jednak udaje się wyjechać i nad najbardziej potrzebującymi opiekę sprawuje parafialna Caritas. Grupa charytatywna wkrótce świętować będzie dziesięciolecie swojego istnienia. – Zaczęło się od organizowania spotkań dla ludzi starszych i samotnych – wspomina Grażyna Węglowska, przewodnicząca Caritas, a zarazem sołtys Łędyczka. – Nadal je organizujemy, ale staramy się także docierać z pomocą do innych środowisk, na ile pozwalają nam środki. Aby usprawnić pracę, do swoich działań włączają sołtysów, zakładają także co roku karty osób potrzebujących.

Religijność parafian ma mocny rys maryjny. Być może związane jest to z faktem, że wcześniej głównym kościołem był kościół pw. Matki Bożej Królowej Polski w Prusinowie. – Dlatego odpust w Prusinowie wcale nie jest mniejszy niż ten, który przeżywamy wspominając św. Apostołów Piotra i Pawła – opowiada proboszcz. – Obrazy Matki Boskiej wiszą też w wielu domach. Nie brakuje osób należących do Zygwigo Różańca.

Kuranty na wieży

W południe z kościelnej wieży rozbrzmiewa „Anioł Pański” wygrywany przez kuranty. – Od siódmej rano spać nie daje swoim parafianom – żartuje proboszcz. – Budzą ich dźwięki pieśni „Kiedy ranne wstają zorze”, tak mówię śpochom: Szczęść Boże! Pobudka! O 15.00 słycać „Jezu, ufam Tobie”, wieczorem pieśń maryjną, a później Apel Jasnogórski. – Wiem, że niektórzy na dźwięk kurantów przerywają prace i się modlą – dodaje już poważniej duszpasterz. Muzyka jest ważna i dla proboszcza, i dla jego parafian. – Chcą i potrafią śpiewać. Zwłaszcza w kościele w Prusinowie jest kilku wspaniałych tenorów – mówi ks. Cezary. – Choć i dzieci pięknie śpiewają i uczą dorosłych nowych pieśni podczas okresowych nabożeństw i uroczystości, przygotowywanych przez parafię lub szkołę. W Łędyczku



ZDJĘCIA KAROLINA PAWŁOWSKA

Z wieży XIX-wiecznego kościoła w Łędyczku kuranty zapraszają do modlitwy

są bowiem przedszkole i mała szkoła podstawowa. To, że niewielka, ma swoje zalety – nie ma tu agresji i anonimowości, a dzięki gronu pedagogicznemu, z dyrektorem Grzegorzem Aprysem na czele, panuje w niej życzliwa atmosfera.

Przy każdym z kościołów są ministranci. Spotykają się nie tylko podczas służby przy ołtarzu. Wraz z proboszczem organizują wycieczki, np. do Kołobrzegu czy indiańskiej wioski. O przygotowanie liturgii dbają także trzy lektorki.

KAROLINA PAWŁOWSKA



KS. CEZARY LESIKOWSKI

pochodzi z Wrzącej par. Stonowice. Świecenia kapłańskie przyjął w 1992 r. w Koszalinie. Pracował w Drawsku, Białogardzie, Słupsku i Kołobrzegu. Od 20.09.2005 jest proboszczem w Łędyczku.

ZDANIEM PROBOSZCZA

Dwa lata temu parafianie przyjęli mnie bardzo życzliwie i wciąż tą życzliwością otaczają. Jej dowody spotykają mnie na każdym kroku i jest to niezwykle spontaniczne. Czy kiedy ktoś przyniesie nazbieranych w lesie grzybów, czy kiedy potrzeba pomocy przy większych pracach. Ta spontaniczność jest chyba bardziej widoczna niż w mieście, gdzie trzeba o pomoc poprosić. Tutaj parafianie reagują sami, widząc jakąś potrzebę. Można powiedzieć, że jest to bardzo rodzinne. W każdej miejscowości jest przynajmniej kilka osób bardzo zaangażowanych. Parafianie sami dbają o swoje świątynie na co dzień. Nie wyobrażam sobie, by mogłoby to być możliwe w dużym mieście. Każdy kościół ma swój uroczysty odpust, po którym wierni przygotowują festyn lub wspólne spotkanie. Są też pewne minusy pracy w małej parafii, przede wszystkim spowodowane odległościami. Marzy mi się jeszcze, żeby w kościołach była większa frekwencja. W tej chwili w Mszach św. uczestniczy zaledwie jedna czwarta społeczności.

Zapraszamy na Msze św.

- W niedziele: o 8.00 w Chwalimie, o 9.30 w Krzywej Wsi, o 10.45 w Łędyczku, o 12.00 w Prusinowie (w sobotę o 18.00 w Głównej)
- W dni powszednie: w Łędyczku od poniedziałku do piątku o 18.00, w soboty o 9.00
- Codziennie: 6.30 i 18.00.